

Nie będę sprzątał po Rutkowskim

Katarzyna Klukowska

2006-09-25, ostatnia aktualizacja 2006-09-22 00:00



<http://www.gazeta.pl/duzyformat><http://www.gazeta.pl/duzyformat>

Rozmowa z detektywem Michałem Rapackim

Dlaczego zrzucił Pan mundur policjanta?

Nie lubię zginać karku. Zwłaszcza przed głępszymi od siebie. Osiem lat, trzy miesiące i szesnaście dni w policji zupełnie wystarczy.

Mocne słowa.

Mocne, ale prawdziwe. W 2000 roku trafiłem do Centralnego Biura Śledczego. Miałem

25 lat i superrobotę. Ścigałem groźnych bandytów ze "starego" Pruszkowa. Zacząłem od "Malizny", czyli Mirosława Danielaka, który podobno zlecił zabójstwo "Pershinga" - teraz odsiaduje karę dziesięciu lat więzienia - a skończyłem na Andrzeju Zielińskim, pseudonim "Słowik", podejrzanym o zlecenie zabójstwa komendanta głównego policji Marka Papały. "Słowik" siedzi w areszcie, grozi mu dożywocie. Po drodze był "Byś", "Chińczyk" i wielu innych. Nieźle mi szło. Odszedłem, bo mi zabrali 600 zł rocznej premii. Podobno za to, że woziłem prywatnego psa służbowym samochodem.

Żartuje Pan. Rzucił Pan robotę z powodu takiego głupstwa?

Pani nie rozumie. Szukali na mnie kija. Nikt nie chciał słuchać moich wyjaśnień, że nie mam psa, a sierść w służbowym aucie wzięła się stąd, że potrafiłem psa na ulicy. Zwierzę jeszcze żyło, więc postanowiłem zawieźć je do weterynarza. Każdy by tak postąpił. Okazało się, że każdy oprócz policjanta.

Wcześniej oddelegowali mnie do pracy w Komendzie Stołecznej Policji. Dostałem sprawę Paroli, czyli strzelaniny, w której bandyci, ci sami, którzy potem urządzili Magdalenkę, ranili śmiertelnie policjanta.

Miałem swój "Pruszków", zajmowałem się weryfikacją części zeznań "Masy", najstłynniejszego świadka koronnego w Polsce, i dołożono mi Parole. Dużo jak na jednego człowieka. Wiadomo było, że wszystkiemu nie podołam. I o to chodziło. Powstał raport o usunięciu mnie ze służby "ze względu na niepełną przydatność". Trafił do kosza, bo był insynuacyjny i kłamliwy, ale pokazywał atmosferę wokół mnie.

Ścigałem "Słowika", ale jak przyszło co do czego, to nie pojechałem za nim do Hiszpanii, bo nie było miejsc w samochodzie. Pojechał za mnie człowiek, który nic o sprawie nie wiedział, i dwa tygodnie przeleżał na plaży. Trzech funkcjonariuszy CBS zaszuwał, a on - z tego, co wiem - się opalał. Policja zafundowała mu wczasy za 25 tysięcy złotych.

Wreszcie napuścili na mnie wydział kontroli wewnętrznej. To taka policja w policji. Rozpytywali kolegów, skąd wziąłem pieniądze na mieszkanie - 40 metrów kwadratowych do

wykończenia. Chcieli wiedzieć, czy nie szastam pieniędzmi, nie przeginam z alkoholem. Wyraźnie szukali haka. Zameldowałem o wszystkim komendantowi głównemu policji. Podchody się skończyły, ale nie udało się ustalić, czy to był pomysł.

Dzisiaj myślę, że mniej chodziło o mnie, a więcej o mego stryja, Adama Rapackiego. Był w tym czasie zastępcą komendanta głównego policji, współtwórcą biura antynarkotkowego, które potem przekształciło się w CBS, najmłodszym generałem policji w Polsce. Nie chciałem mu szkodzić, a i sam miałem dość głupoty i niekompetencji przełożonych. Napisałem raport o zwolnieniu.

Nikt nie próbował Pana zatrzymać, rozmawiać o powodach odejścia?

W policji jest tak, że jak ktoś odchodzi, to nikt go nie pyta, dlaczego. Najwidoczniej policję stać, by najpierw szkolić ludzi, a potem pozwolić im odejść. Rządzi głupota i niekompetencja. Ludzi się nie szanuje. Byłem dobrym gliną. Zaczynałem od posterunkowego na warszawskim Mokotowie. W 1994 roku stałem w kordonie ochraniającym kancelarię premiera przed szturmem górników. Oberwałem mutrą, czyli wielką śrubą. Zgruchotała mi kostkę. Mutry wystrzeliwane z procy przebijały wszystko: kaski, tarcze. Mieliśmy 27 rannych, w tym jednego z rozwaloną grdyką. Dostał styliskiem od kilofa górniczego. Przeżył. Awansował na aspiranta. Ja - na sierżanta. Natychmiast zapisałem się do policyjnej szkoły dla sierżantów w Legionowie. Stamtąd poszedłem prosto do szkoły oficerskiej w Szczytnie. Awansowałem na podkomisarza. Skończyłem też studia pedagogiczne na uczelni w Łowiczu.

No i miał Pan stryja generała policji.

Do CBS nie każdy mógł się dostać. To elita policji: lepiej wyposażeni, lepiej opłacani. Na komisariatach jeździ się starymi polonezami, w CBS - terenowymi nissanami terrano. Na komendzie zarabiałem 1400 złotych, a w CBS 2000. Plus premia za wyniki. Szli najlepsi. Potem to się zmieniło. Przyszli ludzie, których nie powinno tam być. Wkradło się kolesiostwo. Niektórzy zaczęli dzień od setki wódki. Byli jak wrzód na d... tej formacji. Miałem dość niekompetencji, braku doświadczenia.

Podam przykład. Jechałem kiedyś Puławską, jedną z głównych arterii komunikacyjnych stolicy. Na moich oczach samochód wali w latarnię, owija się wokół niej. W środku dwoje młodych ludzi. Żyją, ale są w kiepskim stanie. Dzwonię na pogotowie, równocześnie próbuję ich wyciągnąć. Mam krew na rękach i nikogo do pomocy. Dzwonię do oficera dyżurnego komisariatu, który jest sto metrów od miejsca zdarzenia. Mówię: "Przyślij radiowóz, trzeba zabezpieczyć miejsce wypadku, bo inaczej dojdzie do kolejnej tragedii". A on mi na to: "Dzwoń do ruchu drogowego". Posłałem mu wiązankę. Poskarżył się na mnie komendantowi. Nic nie zyskał, a jeszcze oberwał, że nie wysłał interwencji. Na szczęście przejeżdżał dzielnicowy i włączył się do akcji.

Innym razem wracałem pociągiem z pracy do domu. Nagle pisk hamulców, rwetes. Wyskoczyłem. Na torach leżał facet. Obcięło mu obie nogi, jedną w kostce, drugą nad kolaniem. Policjanci, którzy się zjawili, byli kompletnie nieprzygotowani, nie mieli latarek, nie potrafili sobie poradzić z gapiami. Młodszy z wrażenia zaczął wymiotować. Razem z kolegą wyciągnęliśmy delikwenta na peron. Stąd zabrała go karetka.

Ale najbardziej drażniło mnie w policji to, że przyjmowali ludzi całkowicie niekompetentnych. Podam przykład. Zastępca naczelnika wydziału kryminalnego jednego z komisariatów w Warszawie wysłał kobietę "na wykupkę", czyli z okupem, i zapomniał nam o tym powiedzieć.

Jak podjechaliśmy na miejsce przekazania okupu, to gość przejmował już paczkę z pociętymi gazetami. A za pasem miał giwerę. Gdyby się zorientował, że zamiast pieniędzy dostał makulaturę, kobieta mogłaby się pożegnać z życiem.

Inny policjant, zamiast dowodzić akcją zatrzymania gangsterów, którzy ściągali z gościa haracz, zajął się legitymowaniem lumpa. Gangsterzy podjechali, kazali facetowi wsiadać. Gdyby nie to, że byliśmy z kolegą blisko, w budce telefonicznej, udając, że dzwoniemy, to mogłoby być po gościu. Wyskoczyliśmy z budki i zatrzymaliśmy bandytów.

Co się stało z tymi policjantami?

Awansowali.

Jak się awansuje w policji?

Przez wskazanie palcem. Komendant mówi: "Będiesz naczelnikiem". I człowiek zostaje naczelnikiem.

Psiochy Pan na policję, ale sporo jej zawdzięcza.

Wszystko jej zawdzięczam.

Ale po aferze z premią za prywatnego psa w służbowym aucie poczułem, że czas zwijać żagle. I nie żałuję, choć po odejściu z policji zainwestowałem w biznes, na którym straciłem wszystkie pieniądze z policyjnej odprawy. Wpadłem w potężne długi. Byłem na dnie. Leżałem w łóżku i gapiłem się w sufit. I tak przez pół roku. Gdyby nie matka mojej dziewczyny, nie mielibyśmy co jeść. Słałem dziesiątki CV do różnych firm i rąbałem drzewo w lesie, żeby zarobić na życie. Płacili gorzej niż w policji, zasuwalem fizycznie, ale ani przez chwilę nie żałowałem, że zrzuciłem mundur.

Aż wpadł Pan na pomysł, żeby zostać detektywem.

Nie od razu. Najpierw zajmowałem się konsultingiem. Na zlecenie firm sprawdzałem dane o ich kontrahentach: czy są wypłacalni, działają legalnie, kto za nimi stoi. Potem dołożyłem licencję detektywa.

Ilu jest w Polsce detektywów?

Kilkudziesięciu. Z tego naprawdę liczących się najwyżej czterech. Jednego, Marcina P., właśnie wsadzili do aresztu, drugiemu, czyli Krzysztofowi Rutkowskiemu, zawiesili licencję i też go wsadzili. Jest jeszcze Waldemar Czerwiński w Łodzi i Maciej Szuba w Poznaniu.

Jest Pan młodym, zaledwie 31-letnim człowiekiem. Ze swoim doświadczeniem, stażem na rynku detektywistycznym ma Pan sporo do nadrobienia.

Wprost przeciwnie. Niech mi pani pokaże gościa, który chciałby, jak ja, brać skomplikowane śledztwa, które wymagają ślęczenia nad papierami, konsultacji z prawnikami? Dla mnie detektyw, który kładzie człowieka na ziemi, kopie go po twarzy i daje minutę na przyznanie się do winy, jest pajacem. Nie robię z siebie gwiazdy ekranu. Niczego nie robię "na rympał". Wolę usiąść, spokojnie się zastanowić, opracować plan działania. W sprawach gospodarczych, przy szpiegostwie przemysłowym, które najbardziej lubię, liczy się concept, a nie pośpiech.

Co stanowi Pana wyposażenie?

Szybki samochód, aparat cyfrowy, kamera noktowizyjna, mikrokamery, rejestratory, skanery do wykrywania urządzeń nagrywających, radiotelefon. I oczywiście broń. Kajdanki wożę na wszelki wypadek, ale nie dokonuję zatrzymań. Nie nazywam się Rutkowski, tylko Rapacki. Dzwonię na policję i mówię, kogo, gdzie i kiedy mają zgarnąć. No, chyba że dwóch małaolatów obrabia samochód na parkingu. Wtedy dokonuję tzw. obywatelskiego zatrzymania. Nie wzywam jednak telewizji, by to sfilmowała.

Skończyłem kurs jazdy ekstremalnej, bo zdarza się, że trzeba nie tylko śledzić, ale i ścigać. Niektórzy klienci mają ciężką nogę. Łatwo ich zgubić.

Czy afera z Rutkowskim, najsłynniejszym polskim detektywem, który właśnie siedzi w areszcie, zaszkodziła Pana profesji? Ludzie przestali ufać detektywom?

Rutkowski nie jest detektywem! To showman i pies na pieniądze. Prokuratura wyjaśnia, czy był do tego stopnia zachłanny, że zaprzedał się gangsterom. Poza tym już dawno powinien mieć postępowania karne za to, jak traktuje ludzi. Kopniakami wymuszał przyznanie się do rzekomej winy, znęcał się nad swoimi ofiarami, powalał na ziemię, przystawiał broń do głowy. Detektyw to nie szeryf na Dzikim Zachodzie, jego też obowiązuje prawo. Ludzie byli zachwyceni. Mówili, że Rutkowski jest lepszy niż policja. Tyle że on często przypisywał sobie sukcesy policji. Zdarza się, że jego byli klienci przychodzą do mnie "do poprawki". Odprawiam ich z kwitkiem. Nie będę sprzątał po Rutkowskim.

Czy detektywi kupują informacje od policji?

Jak detektyw zna się na swojej robocie, to nie potrzebuje płacić za informacje. Wystarczy trochę sprytu. Druga rzecz, kto sprzedaje informacje - policjant z drogówki czy funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego. Wagi tych informacji nie da się porównać. Na szczęście to nie mój problem. W mojej pracy policyjna wiedza jest bezużyteczna.

Czy detektywa można kupić?

Nieuczciwego tak. To tylko kwestia pieniędzy. Ktoś proponuje 200 tys. za przygotowanie raportu o firmie konkurenta. Z raportu wynika, że ze spółką jest marnie. Kontrahenci wycofują się, firma bankrutuje. Raport detektywa ma wielką siłę. Może położyć firmę, rozbić małżeństwo, doprowadzić do dyscyplinarnego wyrzucenia pracownika z roboty. Niektórzy detektywi mają podwójną moralność. Zbierają informacje, by szkodzić. Takich należałoby eliminować z rynku.

Chodzi Pan z bronią?

Zawsze. Nie rozstaję się z nią.

Przyjmuje Pan zlecenia od gangsterów?

Nigdy. Nie po to ich kiedyś zamykałem, żeby teraz wyciągać. Choć można powiedzieć, że ostatnio nagiąłem trochę tę zasadę. Przyjąłem sprawę skazanego na 12 lat odsiadki klienta. Mój raport będzie podstawą do napisania skargi do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

Morderca, gwałciciel, handlarz narkotyków? 12 lat więzienia nie dostaje się za niewinność.

Nie twierdzą, że mój klient to niewiniątko, ale 12 lat paki za podżeganie do zabójstwa, do którego nie doszło, i zlecenie podpalenia szwalni konkurenta, którego mu nie udowodniono, to trochę za dużo. Jak przyglądam się tej sprawie, to pusty śmiech mnie ogarnia. Mój klient, majątny człowiek, miał wynająć do "mokrej roboty" idiotę ze skłonnościami do konfabulacji! Ten "cyngiel" prędzej sam sobie odstrzeliłby stopę, niż zabił człowieka. Sąd dał jednak wiarę jego zeznaniom. Wyrok jest prawomocny, mój klient siedzi czwarty rok. Rodzina - znani w całej Polsce hotelarze - nie oczekuje ode mnie cudów. Nie chcą, żebym dowiódł, że gość jest niewinny jak dziecko. Chcą wiedzieć, jak było naprawdę. I za tę prawdę zapłacili.

Przyjmuje Pan sprawy z gatunku: mąż mnie zdradza, proszę go śledzić?

Niechętnie. Zlecenia od zdradzanych mężów i żon, czyli w naszym żargonie: "rogaciznę", przyjmuję w ostateczności, żeby dać zarobić ludziom, z którymi współpracuję. To pracochłonne zajęcie, które nie zawsze przynosi spodziewany zysk. Ludzie myślą, że detektyw to paparazzi. A ja nie stosuję żadnych podsłuchów, wierceń w ścianie, filmowania przez dziurkę od klucza. Staram się też nie naciągać klientów na nieuzasadnione wydatki. Jeśli po dwóch, trzech dniach obserwacji okazuje się, że mąż zamiast do kochanki chodzi na basen albo lekcje chińskiego, uczciwie informuję o tym klientkę.

Ile Pan bierze za taką robotę?

Od 50 do 150 zł za godzinę. Plus zwrot wszystkich kosztów: przejazdu, noclegi, rachunki z restauracji. Jeśli niewierny mąż zaprosi kochankę na kolację przy świecach, trudno, żebym siedział przy sąsiednim stoliku nad filiżanką herbaty. Nawet głupi by się zorientował, że jestem "trefny". I z obserwacji nici.

Nie lubię "rogacizny". To praca na emocjach. Przychodzi kobieta. Od drzwi płacze, że mąż ma kochankę. Daje zlecenie, żeby go śledzić. A potem leci do domu i przy pierwszej nadarzającej się okazji wrzeszczy do męża: "Możesz się zacząć pakować! Wynajęłam detektywa. Już on dowie się o wszystkich twoich niecznych sprawkach!".

Wynajmuje detektywa, żeby straszyć nim męża?

Ot, kobieca logika. Dlatego czasem odpuszczamy męża, a obserwujemy kochankę.

Skąd Pan wie, gdzie jej szukać?

Telefonia komórkowa jest nieoceniona. Nieostrożni kochankowie piszą do siebie SMS-y. Kiedy mąż idzie się kąpać, podejrzliwa żona przegląda jego wiadomości. "Jeszcze teraz czuję smak twoich pocałunków" - czyta. Spisuje numer telefonu i przynosi go mnie. Zamiast szukać dojechać do operatora, dzwonię do dziewczyny, proszę o adres pod pozorem, że muszę jej dostarczyć kwiaty. Dziewięć na dziesięć kobiet się na to bierze. Dla pewności wysyłam bukiet. I odtąd nie spuszcza z niej oka.

Dlaczego tak Pan wybrzydza na "rogaciznę"?

Niewiernego męża i jego kochankę może śledzić każdy. Żeby odnaleźć ukrywającą się osobę lub skradzioną rzecz, też nie trzeba być Bondem. Co innego, gdy chodzi o przestępstwa gospodarcze. Tu potrzebna jest wiedza i doświadczenie. Nagrodą jest satysfakcja i niezły zarobek.

Pamięta Pan swoje pierwsze zlecenie?

Przyszła do mnie 30-letnia kobieta. Chciała znaleźć ojca. W jej akcie urodzenia figurowało "ojciec nieznan". Matka dała córce swoje nazwisko. Miałem do dyspozycji zdjęcia i strzępki rodzinnych historii. Ustaliłem nazwisko mężczyzny, jego adres i telefon. Zanim zadzwoniłem do klientki, upewniłem się, że to przyzwoity człowiek, a nie na przykład bezdomny albo alkoholik. Gdyby tak było, moim obowiązkiem byłoby ją uprzedzić, że spotkanie z ojcem może być początkiem kłopotów.

Innym razem przyszedł do mnie chłopak, który w rzeczach zmarłego ojca znalazł przelew alimentacyjny sprzed dziesięciu lat. Zorientował się, że prawdopodobnie ma przyrodniego brata. Okazało się, że ojciec przez 30 lat ukrywał przed rodziną fakt, że był już raz żonaty i ma dziecko z pierwszego małżeństwa. Jakby tego było mało, obie żony i synowie mieli tak samo na imię. Potem okazało się, że nie tylko identycznie się nazywają, ale jeszcze wykonują ten sam zawód strażaka. Tyle że na przeciwległych krańcach Polski.

Ambitniejsze sprawy?

Pierwszą zasadą detektywa jest dyskrecja, ale o niektórych sprawach mogę opowiedzieć, bo zgodzili się na to moi klienci i ich prawnicy.

Od kilku miesięcy grzebię w śmieciach. A konkretnie w stłuczce szklanej. Oblicza się, że każdego roku w Polsce produkuje się ok. 900 tys. ton szkła w postaci butelek i słoików. Według danych organizacji odzysku, czyli firm, które żyją z pieniędzy producentów za utylizację ich wyrobów, zbiera się ok. 180-190 tys. ton zużytych opakowań szklanych, czyli tzw. stłuczki. Według Ministerstwa Ochrony Środowiska odzysk jest większy i wynosi ok. 285 tys. ton. Różnica, czyli ok. 100 tys. ton, to czarna liczba szkła, z którą nie wiadomo, co się dzieje. Prawdopodobnie istnieje tylko "na kwitach".

Producentem "lewych kwitów" jest pewien pan spod Łodzi, właściciel wygasłej od lat huty szkła. Proceder wygląda tak: przedsiębiorczy pan umawia się ze śmieciarzem lub z nieuczciwą organizacją odzysku, a takich nie brakuje, że przyjmie 10 tys. ton szkła. Nikt go nie zbiera ani tym bardziej nie wiezie do huty. Odpad jest wirtualny. Dla zmylenia ewentualnej kontroli organizacja odzysku lub śmieciarz płacą hucie symboliczne pieniądze za recykling szkła. Huta wystawia fakturę na bardzo zaniżoną kwotę. Kwitem z huty można handlować. Każdy producent opakowań szklanych kupi go z pocałowaniem ręki, płacąc po 50-70 zł za tonę. Na 10 tys. ton wirtualnego odpadu zarabia się ok. pół miliona złotych. "Nasza" huta przerabia 60 tys. ton rocznie. Pod jej bramą każdego dnia, świątek czy piątek, powinno stać 6-8 ciężarówek po 20-25 ton szkła każda. A nie stoi żadna. Z żadnego komina nie wydobywa się nawet smużka dymu. Wiem, bo spędziłem w pobliżu wiele dni i nocy. Prokuratura i policja niewiele robią, a gość nadal rozsyła oferty i naciąga producentów opakowań.

Jeśli nie do huty, to gdzie trafiło szkło?

Prawdopodobnie na wysypisko albo do lasu.

Kto Panu zlecił tę robotę?

Uczciwa organizacja odzysku. "Szemrana" konkurencja może wpędzić wiele uczciwych firm w kłopoty. Jeśli prokuratura, która zajęła się sprawą, udowodni, że huta wystawiała "lewe" kwity, to producenci opakowań będą musieli zapłacić jeszcze raz za to samo. Na interesie traci państwo,

a zarabia właściciel huty i nieuczciwe organizacje odzysku.

Nie tylko śmieciami detektyw żyje...

Ostatnio "robiliśmy" w tachografach. To takie urządzenia, które rejestrują prędkość jazdy i czas pracy kierowcy ciężarówki. Na rynku pojawiły się firmy, które nielegalnie legalizują tachografy, a jakby tego było mało, montują "pstryki", które je wyłączają. Kierowca jedzie, a tachograf tego nie rejestruje. Jechał dziewięć godzin na tachografie i następne osiem bez niego. Jest zmęczony, przysypia, ma osłabioną koncentrację i refleks. 20 ton na kołach prowadzone przez zombie. Efekty tego, co się dzieje, jak gość zasypia, widać na drogach codziennie. To gorzej niż pijak za kierownicą.

Przyszli do nas ze zleceniem goście, którzy montują tachografy legalnie. Oszuści psują im rynek i sprowadzają niebezpieczeństwo na użytkowników dróg. Powiedzieli nam mniej więcej, gdzie, co i jak, a resztę zrobiliśmy już sami. Wynajęliśmy ciężarówki, zamontowaliśmy "trefne" tachografy z "pstrykami". Powiadomiliśmy Główny Urząd Miar (GUM) i prokuraturę. GUM dopatrzył się "istotnych nieprawidłowości", ale koncesji tym firmom nie odebrał. Nie mogą tego pojąć: pokazują urzędnikom gości, którzy zakładają "lewe" tachografy, wszystko jest zarejestrowane na filmie, a goście nadal działają.

Jeszcze nie skończyliśmy z tachografami, a już trzeba było jechać do Sieradza. Klient drżał o życie, policja go "olała", zwrócił się do nas.

Groziła mu mafia?

Skąd! Wspólnik w interesach. Nie mógł się pogodzić, że stracił udziały w spółce. Wynajął bandziorów, żeby wywieźli prawnika firmy do lasu i tam go postraszyli. Wodzili mu nożem po szyi, zakładali torbę foliową na głowę, rozebrali do majtek i puścili wolno. Roztrzęsiony radca prawny dotarł na policję, złożył zeznania. Na 75 proc. wskazał na dawnego wspólnika. Policja, zamiast go przesłuchać, porozmawiała z nim przyjacielsko przez telefon. Rozmówcy uznali, że radca prawny wszystko zmyślił. Następnego dnia biznesmen, który zatrudniał owego radcę i przejął udziały wspólnika, odebrał telefon: "Jak pójdziesz na policję, a wiemy, że masz taki zamiar, to cię odstrzelimy" - usłyszał w słuchawce. Facet się przestraszył. Miejscowym stróżom prawa nie ufał, więc przyszedł do mnie. Ubrałem gościa w kamizelkę kuloodporną, zorganizowałem konwój, który go ubezpieczał, gdy jechaliśmy na policję w Sieradzu składać zeznania. Nieskromnie powiem, że moja obecność zrobiła odpowiednie wrażenie. Nie dość, że detektyw, to jeszcze były oficer Centralnego Biura Śledczego, o nazwisku Rapacki. Co prawda Michał, nie Adam, ale zawsze. Komendant kazał wszcząć śledztwo, polecił przesłuchać domniemanego sprawcę. Ale po takim czasie niczego nie da się już zrobić. Policja zawałiła sprawę.

Często podpierał się Pan rodzinnymi koneksjami?

Nie robię kariery na plecach stryja. Nigdy nie zaczynałem rozmowy: "Rapacki jestem, a mój stryj to szych w policji, więc proszę się ze mną liczyć". Stryj nigdy by mi tego nie wybaczył. Zresztą odnoszę wrażenie, że jest na mnie obrażony po tym, jak odszedłem z CBS. Być może uraziłem jego ambicje, nie spełniłem oczekiwań. Pomógł mi zdobyć tę robotę, a ja się na nią "wypiąłem".

DUŻYFORMAT

Źródło: Duży Format